 Czas czytania: 11 min.

We śnie opowiedzianym przez Księdza Bosko w nocy 25 kwietnia 1875 roku, wymiar oniryczny staje się żywą katechezą i symbolicznym przedstawieniem duchowej walki młodych. Akcja rozgrywa się w rozległej dolinie, a opowieść przeplata postacie przyjaciół – Buzzettiego, Gastiniego i innych salezjanów – z potężnymi obrazami: koniem ufności w Boga, dwuzębnymi widłami Spowiedzi i Komunii, bestiami pokus, ochronnym płaszczem Maryi. Żywym językiem Ksiądz Bosko pokazuje, jak droga do zbawienia prowadzi przez pułapki, upadki i odważne wybory, ale jak każdy chłopiec posiada „broń" do stawienia oporu. Ta wizja, powtarzana w „dobrych wieczorach" w maju i czerwcu, staje się zaproszeniem do szczerości, zaufania przełożonym i wytrwałości w łasce.

Przychodzę dotrzymać obietnicy. Wiecie dobrze, że sny ma się wtedy, kiedy się śpi. Otóż w związku z waszymi rekolekcjami zastanawiałem się, jak też je odprawicie i co wam należałoby powiedzieć, abyście z nich odnieśli jak największy pożytek. Z tą myślą poszedłem na spoczynek w niedzielę, 25 kwietnia, w przeddzień waszych rekolekcji. Ledwie się położyłem i zasnąłem, gdy zdawało mi się, że znajduję się sam jeden w bardzo rozległej kotlinie, po bokach, której wznosiły się dwa pagórki. Z jednej strony horyzontu, gdzie teren się wznosił, biła wielka światłość, na drugiej zaś panował półmrok. Rozglądając się wokoło, ujrzałem podchodzących ku mnie Buzzettiego z Gastinim, którzy wołali:

– Księże Bosko, niech Ksiądz szybko wsiada na konia, a prędko, prędko.

– Chyba sobie żartujecie ze mnie – odpowiedziałem. Wiecie przecież, że od dłuższego czasu nie dosiadałem konia.

Oni jednak nalegali, mimo że wzbraniałem się, perswadując im:

– Nie wsiadam na żadnego konia, bo już raz z niego spadłem. Ci byli nieustępliwi i nalegali: Wsiadać, wsiadać i to szybko, bo nie ma czasu do stracenia.

– Ależ koniec końcem, jak wsiądę to, co potem dalej? Dokąd mamy jechać?

– Zobaczy Ksiądz, tylko proszę prędko wsiadać.

– No a gdzież ten koń, żadnego konia tu nie widzę.

– Otóż tam, zawołał Gastini, wskazując ręką kierunek.

Obróciłem się i ujrzałem rzeczywiście pięknego i dziarskiego wierzchowca, o smukłych nogach, bujnej grzywie, maści lśniącej.

– No dobrze – rzekłem – skoro już tak nalegacie, to wsiadam na tego konia, lecz jeżeli spadnę.

– Proszę być spokojnym, jesteśmy przygotowani na wszelką ewentualność.

– Ale zaznaczam, że jeżeli sobie kark skręcę, to ty Buzzetti pamiętaj, abyś mi z powrotem głowę nasadził na jej miejsce.

Buzzetti zaczął się śmiać.

– Nie ma czasu na śmiechy – fuknął Gastini.

Zbliżyliśmy się do konia, na którego wgramoliłem się z wielkim trudem. Jak bardzo wysoki wydawał mi się ten rumak. Miałem wrażenie, iż znajduję się raczej na wyniosłym wzgórzu. Oczyma obejmowałem całą tę wspaniałą kotlinę. Nagle mój bachmat ruszył z kopyta: i oto nowa osobliwość. Miałem wrażenie, że jestem w swoim pokoju. Więc mówię sam do siebie: gdzie ja się właściwie znajduję? Tym bardziej zaś byłem niespokojny, bo widziałem jak przychodzą do mnie księża, klerycy i inni, wielce zakłopotani i przestraszeni.

Po dość długiej podróży mój koń stanął. Otoczyli mnie owi księża i klerycy, między którymi ujrzałem ks. Rua, ks. Cagliero, ks. Bologna. Wszyscy podziwiali wierzchowca, na którym siedziałem, ale nikt słowa nie przemówił. Miny ich zdradzały jakieś niebywałe zakłopotanie. Przyzwałem, więc księdza Bologna i mówię mu:

– Księże Bologna, ksiądz ma pokój blisko portierni, czy nie wie, co zaszło w domu, dlaczego wszyscy są tak przygnębieni?

A on mi na to:

– Sam nie wiem, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, straciłem zupełnie głowę. Wciąż przychodzi tu mnóstwo, coś rozmawiają między sobą i odchodzą. W portierni

jest straszne zamieszanie, nie można sobie dać rady. Czyżby może – powtarzałem sobie – dzisiaj miało zdarzyć się coś niebywałego?

Wówczas podano mi jakąś trąbkę, abym ją trzymał, bo mi się przyda.

– Ale gdzież ja się znajduję – pytam.

– Zadmij w trąbę.

Zadąłem, a z trąby wydobył się głos: Jesteśmy w krainie próby. Wtedy ujrzałem olbrzymie mnóstwo chłopców. Było ich setki, tysiące. Schodzili z jednego pagórków. Wszyscy uzbrojeni byli w widły i maszerowali śmiało ku dolinie. Byli to chłopcy z Oratorium i z innych naszych zakładów, ale większości z nich wcale nie znałem.

W tej chwili z przeciwnej strony horyzontu niebo zaczęło się gwałtownie ściemniać, jakby noc nastała, a równocześnie pojawiło się niezmierne mnóstwo zwierząt, podobnych do lwów, czy tygrysów. Straszne te bestie, z grubymi cielskami, o nogach krępych, szyjach długachnych, łby miały raczej małe. Ale mordy ich budziły grozę, zwłaszcza z powodu czerwonych ślepi, wychodzących im z oczodołów. Wstrętne te potwory rzuciły się na chłopców, ale ci stanęli odważnie do walki. Trzymając w ręku widły o dwóch zębach, nastawiali je przeciwko tym potworom, to wznosząc, to zniżając, zależnie od zachowania się owych zwierząt, które nie mogąc za pierwszym impetem zwyciężyć, gryzły widły, a połamawszy na nich kły, pierzchały. Niestety niektórzy chłopcy mieli widły jednozębne i ci zostali pokrwawieni. Inni mieli rękojeści złamane lub spróchniałe, a co najgorsze, to bardziej zarozumiali stanęli do walki bez broni. Ci wszyscy padali ofiarą rozjuszonych zwierząt, które ich rozszarpały. Niestety było ich niemało. Więcej jednak było tych, co mieli widły dobre o dwóch zębach.

Mój koń z początku również został otoczony przez wielką masę owych gadów, ale podskakując i kopiąc na wszystkie strony, pozgniatał je i odpędził. Przy tym stawał się coraz wyższy i coraz bardziej unosił się w górę.

Z ciekawości zapytałem, co oznaczają widły o dwóch zębach. W odpowiedzi podano mi jedno. Na pierwszym zębie był napis: Spowiedź św., a na drugim; Komunia św.

– Ale co oznaczają owe zęby?

– Zadmij w trąbę.

Zatrąbiłem i usłyszałem głos: Spowiedź i Komunia św. dobrze odprawiona. Zadąłem jeszcze w trąbę i znowu usłyszałem:

– Rękojeść złamana – to Spowiedź i Komunia św. niedobrze odprawione. Rękojeść podpróchniała – spowiedzi niedbałe.

Po owym pierwszym napadzie objechałem konno pobojowisko, na którym leżało wielu rannych i zabitych. Niektórzy byli uduszeni, ze szyją nabrzmiałą, drudzy mieli twarze straszliwie powykrzywiane, inni padli z głodu, choć w pobliżu nich stały półmiski, pełne smakołyków. Owi uduszeni – to ci, którzy popełniwszy grzech w młodości, nigdy nie wyznali go w spowiedzi. Ci z twarzami powykrzywianymi – to obżartuchy. Zmarli z głodu – to ci, co chodząc do spowiedzi, nie korzystają z rad i upomnień spowiednika. Obok tych, u których rękojeść wideł była spróchniała, były wypisane wyrazy: Pycha – lenistwo – nieskromność – itd. Należy jeszcze zaznaczyć, że chłopcy w czasie owego marszu, stąpali po różach bardzo zadowoleni, po kilku jednak krokach niektórzy z krzykiem padali na ziemię, zdrętwiali, czy ranni, z powodu kolców ukrytych pod płatkami róż. Inni natomiast postępowali odważnie i zachęcając się wzajemnie, przydeptywali kolce i tak odnosili zwycięstwo.

Wtem znowu ściemniło się niebo i nagle wyskoczyło jeszcze większe mnóstwo tychże potworów, co poprzednio, które w ciągu paru sekund otoczyły mego konia. Bestie te strasznie się rozrastały, iż sam się ich przeraziłem, bo mi się zdawało, że już mnie dosięgną swoimi szponami. Ale w sam raz podano mi widły tak, że mogłem się obronić i zmusić je do ucieczki. Wkrótce wszystkie znikły, bo każdy, jeśli w pierwszym natarciu nie zdołał przemóc, to w tej chwili gdzieś się zapodziewał.

Zadąłem wtenczas w trąbę, a po dolinie rozległ się potężny głos: Zwycięstwo, zwycięstwo…

Lecz jakże – pomyślałem sobie – nazwać to zwycięstwem, skoro tylu jest rannych i zabitych? Zadąłem, więc ponownie w trąbę i usłyszałem: Czas dla zwyciężonych. Wnet niebo dotychczas ciemne wypogodziło się i zajaśniała różnokolorowa tęcza, tak cudna, że niepodobna jej opisać. A była szeroka i wielka. Mogłaby oprzeć się jedną stroną o Supergę, a drugą Mont`Cenisio. Dodać tu jeszcze trzeba, iż zwycięscy mieli na głowach korony mieniące się barwnymi brylantami, iż rozkoszą było na nich patrzeć. Twarze ich jaśniały przedziwnym blaskiem i pięknością. W głębi, za tęczą, wznosiło się podwyższenie, pełne rozradowanych postaci tak

pięknych, iż trudno to wyrazić. Na przedzie, jakby na balustradzie, stała majestatyczna Pani w królewskim płaszczu i wołała: Dziateczki moje, przybywajcie i chrońcie się pod mój płaszcz. W tejże chwili, od owej Pani rozpostarł się wielki płaszcz. Chłopcy zaczęli biec pod niego, a niektórzy wprost jakby fruwali, a to ci, co mieli na czole niewinność. Inni szli pieszo, byli i tacy, co wlekli się zaledwie. Wtedy ja zacząłem biec, myśląc sobie: Przecież to się musi skończyć, bo inaczej to umrzemy wszyscy. Tak myślałem biegnąc… i obudziłem się.

Do tego snu powrócił jeszcze Ksiądz Bosko dnia 6 maja, w święto Wniebowstąpienia. Zgromadziwszy wszystkich tak gimnazjalistów jak rzemieślników, mówił do nich:

– Owego wieczoru, opowiadając wam powyższy sen, nie mogłem wszystkiego powiedzieć, gdyż słuchały tego także osoby obce, a ja chciałbym, żeby te rzeczy pozostały tylko pomiędzy wami i nie wypada o nich pisać nawet do rodziców ani do znajomych. Chętnie mówię o wszystkim, także o własnych grzechach, ale tylko do was. Otóż owa dolina, owa kraina próby, to ten świat. Półmrok – to miejsce zatracenia. Owe dwa pagórki – to przykazania Boskie i kościelne. Węże – to szatany; potwory zaś – to pokusy do złego. Ów koń – to jakby ów rumak, który powalił Heliodora, a symbolizuje ufność w Bogu. Ci, co kroczyli po różach i ginęli, to ci, co wśród rozkoszy tego świata zadają śmierć swej duszy. Ci, co deptali róże, oznaczają tych, co wzgardzili uciechami światowymi i zostają zwycięzcami. Kto by chciał wiedzieć, jaką miał wówczas broń i czy należał do zwycięzców, czy względnie był zabity lub ranny, to z biegiem czasu mogę każdemu z poszczególna powiedzieć. Wprawdzie wszystkich tam obecnych nie znałem, ale was tu z Oratorium rozpoznałem wszystkich. Być może, że owi nieznani mi przyjdą dopiero do Oratorium.

Sekretarz ks. Berto, który spisał to opowiadanie, przyznaje się, iż wielu szczegółów już nie pamięta, które Ksiądz Bosko obszerniej wyjaśnił. Więc zapytał go 7 maja, będąc u niego w pokoju:

– Jak Ksiądz może zapamiętać wszystkich chłopców, jakich ogląda we śnie? a następnie każdemu powiedzieć, w jakim go oglądał stanie, wskazując mu przez to jego wady? Ech, to za pomocą: Otis, Botis, Pia, Tutis. Jest to jedna z tych odpowiedzi wymijających, jakie dawał na pytania ambarasujące. Również księdzu Barberisowi, który zagadywał go na temat tego snu, odpowiedział bardzo poważnie: Jest w nim coś więcej, niż zwykły sen. I na tym przerwał rozmowę, przechodząc do innego

tematu.

Ks. Berto kończy swoje opowiadanie słowy: Także ja, który piszę te rzeczy, odważyłem się zapytać go o samego siebie: Otrzymałem odpowiedź tak dokładną, że się rozpłakałem i powiedziałem sobie: Nawet gdyby Anioł z nieba przyszedł, nie mógłby lepiej mego stanu wyrazić. Do tego snu wrócił jeszcze Ksiądz Bosko dnia 4 czerwca owego roku.

W związku z nim taki odbył się dialog między Świętym a księdzem Barberisem:

Ks. Barberis: Jeśli Ksiądz Bosko pozwoli, to chciałbym zadać kilka pytań, odnośnie ostatniego jego snu.

Ksiądz Bosko: No to powiedz, o co ci chodzi. Wprawdzie upłynęło już sporo czasu, ale mniejsza o to.

Ks. Barberis: Otóż opowiadał nam Ksiądz, że przy końcu snu niektórzy lecieli pod płaszcz Matki Najświętszej, wielu biegło, inni szli powoli. Niektórzy człapali w błocie, bardzo powalani i nie dochodzili pod płaszcz. Już wiemy, że ci pierwsi, to niewinni; co do drugich, łatwo się domyśleć. Ale ci powalani, kogo przedstawiają?

Ksiądz Bosko: Ci obłoceni, co nie doszli pod płaszcz Madonny, to ci, co mają wielkie przywiązanie do dóbr tej ziemi; to egoiści, którzy myślą tylko o sobie, niezdolni wznieść się ku rzeczom niebieskim. Czują, że Matka Najświętsza ich woła, chcieliby usłuchać, a nawet czynią już kilka kroków, ale błoto ich więcej pociąga. Mówi Zbawiciel, że „gdzie jest twój skarb, tam jest i serce twoje”. Ci nie myśląc o skarbach, jakie niesie Łaska Boża, przywiązują serce do rzeczy ziemskich, chcąc tylko tu używać, bogacić się, stać się sławnymi, a Niebo nie odgrywa w ich życiu żadnej roli.

Ks. Barberis: Jest jeszcze jedna rzecz, o której Ksiądz Bosko nie mówił nam, opowiadając sen, ale, o której słyszeli niektórzy prywatnie od niego, a mianowicie, że gdy zapytali, czy oni biegli, czy tylko wlekli się pod płaszcz ów, to Ksiądz im odpowiedział, że jakaś chmura przeszkadzała mu i nie widział ich dobrze.

Ksiądz Bosko:, Jako teolog, powinieneś to wiedzieć. Prawdą jest, że kilku chłopców widziałem, nie mogąc sobie uświadomić, co się z nimi działo. Są to ci, którzy trzymają się z dala od przełożonych i nie są szczerymi. Z tego powodu nie mogłem im dać innej odpowiedzi jak tylko podkreślić, że ty nie jesteś szczery wobec

przełożonych. Pamiętajcie jednak, moi drodzy, że będzie to dla was wielce korzystne, jeśli będziecie mieli pełne zaufanie do przełożonych.

Ks. Barberis: Jeszcze jedno, ale boje się, bym nie został posądzony o zbytnią ciekawość.

Ksiądz Bosko: No, o tym, żeś ciekawski, wszyscy dobrze wiedzą /ogólny wybuch śmiechu/. W każdym razie jest i ciekawość dobra, jeśli prowadzi do poznania prawdy. Gorzej jest z tymi, co zawsze gdzieś się kryją jak sowy, nigdy o nic się nie pytają.

Ks. Barberis: Nie chcę do tych należeć, więc się pytam o to, co do czego ciekawość mnie dawno męczy. Czy Ksiądz Bosko w owym śnie widział rzeczy przeszłe, czy także przyszłe, co kto z nas będzie robił i czym kto zostanie?

Ksiądz Bosko: Nie tylko przeszłość, ale i przyszłość waszą widziałem. Każdy chłopak miał przed sobą wiele dróg. Niektóre były bardzo wąskie i pełne kolców, a niektóre nawet nabite ostrymi gwoździami, ale drogi te również były pełne Łaski Bożej i kończyły się we wspaniałym ogrodzie.

Ks. Barberis: A więc może nam Ksiądz powiedzieć, jakie jest powołanie każdego z nas, jaką droga pójdziemy i jak się z nami skończy.

Ksiądz Bosko: Odnośnie do tego, jaką drogę każdy z was obierze i jak skończy, nie jest rzeczą odpowiednią mówić. Gdybym któremuś z was powiedział: Ty pójdziesz drogą bezbożnika, na pewno by mu to dobrze nie zrobiło. To, co mogę powiedzieć jest to, że kto pójdzie drogą swego powołania to pójdzie drogą zbawienia; kto z niej zboczy, ten schodzi na manowce. Pewno, że niektóre drogi życia ciasne są i pełne kolców, ale nie traćcie odwagi, Łaska Boża będzie wam towarzyszyć, zaś nagroda, jaka was oczekuje, każe prędko zapomnieć o wszelkich ukłuciach życiowych. Ostatecznie, co wam chcę jeszcze powiedzieć, jest to, iż wszystko, co opowiadałem, to było snem i nikt nie jest zobowiązany w to wierzyć, ale jeśli wam coś odpowiada, z tego korzystajcie. A dalej, o czym chciałbym, abyście nie zapomnieli, jest to: abyście się za mnie modlili – ne cum aliis presdicaverim, ipse reprobus efficiar. Polecajcie mnie, więc naszemu Zbawicielowi i zbawienie mojej duszy. Łatwo, bowiem mogłoby się stać ze mną, jak z kwoczką, która zbiera robaczki i ziarna dla swoich kurcząteк, a sama by wnet zginęła z głodu i wycieńczenia, gdyby nie pomyślano o obfitym dla niej pokarmie. Niech, więc wasze modlitwy będą tym pokrzepieniem dla mnie i pomocą, abym mógł przyozdobić swe serce wielu cnotami

i tak mógł podobać się Bogu, byśmy wszyscy kiedyś razem godnymi byli cieszyć się chwałą w Niebie u stóp Najświętszej naszej Madonny.

Dobranoc

(MB IT XI, 257-264; MB PL XI, 140-145)